Świat powieściowy.

Pismo tygodniowe belletrystyczne.

Wychodzi we Lwowie w każdą niedzielę.
Administracja: ulica Grodzickich l. 4. w drukarni narodowej W. Manieckiego.

Nr. 37.

dnia 14. Sierpnia 1881.

Prenumerata wynosi wraz z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . . 2 zł.
półrocznie . . . 4 zł.
rocznie . . . . 8 zł.

ZDRAJCA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA W DWÓCH TOMACH

przez Autora „*Marzycieli*“

TOM II.

(Ciąg dalszy).

Przyszła nareszcie licytacja, na której tylko jeden Stern się pojawił. Nie znalazłszy współzawodników, miał łatwe zadanie. Majątek który był wart 300.000 kupił za 170.000. Chociaż po krachu wiedeńskim z r. 1873 dobra ziemskie w Galicji dla braku kupujących w cenie bardzo spadły, mimo to za Starąwieś, przy jakiem takiem współzawodnictwie, w którem i pan Lachocki był by niewątpliwie wziął udział, można było najmniej 250.000 osiągnąć, a że długi hipoteczne wynosiły niespełna 200.000, więc w najgorszym jeszcze razie, panu Gozdawie był by został kapitał, wynoszący przeszło 50 guldenów, kwota aż nadto wystarczająca na utrzymanie jednego człowieka. Ale te pieniądze były by mu przypadły dopiero w razie sprzedaży majątku. Tymczasem według układu ze Sternem, Starawieś miała i nadal zostać jego wyłączną własnością...

Gdy Stern z sądu wróciwszy, powiedział mu ręce zacierając, że rzecz skończona, pan Gozdawa doznał takiego samego wrażenia, jak ongi gdy na zgromadzeniu szlachty stawiał jego kandydaturę. Niby to się ucieszył, mniemając, że zrobił dobry interes, a jednak coś go w piersiach ścisnęło, i z nikim tego dnia nie chciał się widzieć. Unikał nawet wzroku swego pokojowca, jakby się czego bał lub wstydził. Trwało to dni kilka, a chociaż tak Stern jak i Moszko otaczali go grzecznościami, było mu w domu nieswojsko. Nareszcie po tygodniu wyjechał cichaczem do stolicy.

Tu do syna ani się zgłosił, tylko prościusieńko poszedł do ojca Samuela, którego zastał nad wielką mapą, śledzącego poruszenia wojsk rosyjskich i tureckich na ziemi bułgarskiej. Zakonnik trzymając w ręce różnobarwne chorągiewki, rzucał niekiedy okiem na telegramy dziennika, który na mapie leżał, i coś sobie szepcąc chorągiewki wtykał uważnie.

W tem przyjemnem zajęciu tak był zatopiony, że nie słyszał, jak pan Gozdawa od celi drzwi otworzył, i dopiero głowę podniósł, gdy usłyszał głos za sobą:

— Pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki! — odpowiedział, a gościa poznawszy, dodał: — Jaka niespodzianka, że pan dobrodziej właśnie dziś przyjechał! Telegramy bardzo ważne... Turczyn wziął na rozum...

— Niech go tam wszyscy kaci porwą, mosterdzieju! Ojciec dobrodziej mówisz, że on wziął na rozum, a ja lękać się zaczynam, czym przypadkiem rozumu nie stracił... Źle sercuńciu, bardzo źle!

Bernadyn temi słowami zdziwiony, wpatrzył się w mówiącego. Pan Gozdawa był blady i wyglądał jak człowiek, którego coś w wysokim stopniu zaniepokoiło.

— Czy panu dobrodziejowi stało się co złego? — zapytał.

— Alboż ja wiem sercuńciu... Ot posłuchaj ojcze dobrodzieju, co mi na sercu ciąży, bo muszę sobie ulżyć. Powinienem był może pójść do syna, lecz wyznaję, żem nie miał odwagi. Ztchórzyłem mosterdzieju jak student przed profesorem! Niech teraz ojciec posłucha.

Po tym wstępie, opowiedział zakonnikowi swój

układ ze Sternem, powtarzając nawet swoją z nim rozmowę tak wiernie, że jednego słowa nie stracił. Gdy doszedł do końca, zapytał:

— Powiedz mi sercuńciu, dobrzem zrobił, czy źle?

— Alboż ja wiem panie dobrodzieju... Interesa pieniężne, to rzecz nie moja, nigdy się niemi nie zajmowałem. Lecz źle by było, gdyby już żadnemu żydowi wierzyć nie można... Mimo że to poganie, zawsze oni ludzie, i coś człowieczego w nich tam być musi... Zresztą trzeba i to wziąć na uwagę, że taki Stern, mając już miljony, nie zechce się może na cudze mienie łakomić, zwłaszcza, że chciał by zażywać dobrej sławy... Chociaż kto wie! ci żydzi urobieni na wzór wiedeński, to istoty bez czci i wiary, to nie warszawscy, o których nasze gazety ciągle piszą, że są bardzo zacni... Ale że też pan dobrodziej nie zwierzył się z tem wszystkiem przed panem Ryszardem? Wszak to człowiek rozumny, filozof, i tylko w tem jednem z nim się nie godzę, że o Turkach wyraża się dość nieprzychylnie.

— Pewnie sercuńciu, żem źle zrobił... trzeba mu było wszystko opowiedzieć... Ale trudna rada, stało się, teraz mam doświadczenie!

— Nie należy bo jeszcze rozpaczać panie dobrodzieju. Przecie Bóg łaskaw, być więc może, że Sterna oświeci i każe mu być człowiekiem porządnym.

— Być może kochany ojcze, ale mnie w Starejwsi tak jakoś nieswojsko, jakbym siedział u Sterna komornem, a nie był u siebie w domu. Sam nie wiem mosterdzieju co mi się stało.

— Nic dziwota, panie dobrodzieju, takie przejście musiało zrobić wrażenie. Ale niech pan dobrodziej pójdzie tylko do pana Ryszarda, a nie wątpię, że cała rzecz skończy się najlepiej.

— Zapewne... Zapewne...

Z tej odpowiedzi ojciec Samuel wnioskował, że pan Gozdawa od niego wyszedłszy, uda się natychmiast do syna. On sam myślał że to uczyni; ale gdy się na ulicy znalazł, wstyd mu było stanąć przed tym, który mimo znacznej wieku różnicy oddawna go prosił, by Sternowi nie dowierzał, a że w głębi duszy obudziła się w nim znów nadzieja, iż z tego co zrobił, może jeszcze nic złego nie wyniknie, więc zamiast pójść do Ryszarda, udał się na kolej i jeszcze tego dnia był w Starejwsi.

Niepokój, który go trapił, zaczął jednak ustępować, jak skoro zobaczył, że ani we dworze ani w gospodarstwie nic się nie zmieniło. Moszko jak dawniej mu się kłaniał, jak dawniej nazywał go „jaśnie panem“ lub „jaśnie wielmożnym dziedzicem“ i jak dawniej kasę jego gotówką zasilał. Stern rzadko się pojawiał, interes bowiem nakazywał mu jeździć teraz częściej do sądu, by przyspieszyć zatwierdzenie licytacji. Dopiero gdy to nastąpiło, dekoracja od razu się zmieniła.

Nazajutrz po wręczeniu mu uchwały, że Stern jest Starejwsi jedynym i wyłącznym właścicielem, pan Gozdawa wyszedłszy na ganek, zobaczył, że Moszko stojąc przy kilku robotnikach, każe im kosami siec ogród kwiatowy. Myśląc, że żyd dostał zmysłów pomięszania, zawołał na niego. Moszko ani się obrócił, ani czapki nie zdjął, a gdy chłopi na głos swego pana kapelusze pozdejmowali i kosić przestali, żyd krzyknął:

— Czemu nie robicie? Kto tu rozkazuje?! Przecie tu pan Stern dziedzic.

Pan Gozdawa te słowa usłyszawszy podszedł do arendarza.

— Co ty pleciesz mosterdzieju? — zapytał.

— Ja nic nie plotę, to chyba pan plecie! — zawołał z taką zuchwałością, że pan Gozdawa mimowoli spojrzał na ziemię, czy gdzie jakiego kija nie zobaczy. Moszko tymczasem o kilka kroków odskoczył i mając ciągle czapkę na głowie dodał: — A niech pan prędko zbierze dwa tysiące, którem pożyczył, bo inaczej nie będziesz pan miał czem z tąd wyjechać!

Pan Gozdawa mimo że nie należał do potulnych baranków, nie zwołał służby i nie kazał żyda przetrzepać. W oczach zrobiło mu się jasno, w piersi serce zaczęło drgać nerwowo... Przeczuwając najgorsze, posłał po stangreta, aby zaprzągł i tejże chwili pojechał do Woli Ludaczowskiej.

Sterna nie zastał; był we Wiedniu, a pani Sara Stern nawet nie miała adresu męża. Przygnębiony do domu wrócił i kilka dni wcale nie wychodził. Przez ten czas pokojowiec przyniósł mu niemało smutnych wiadomości.

Moszko we wsi ogłosiwszy, że prócz Sterna do majątku Gozdawitów nikt więcej nie ma prawa, zaczął służbę odprawiać, przedawać konie i powozy, słowem tak się rządzić, jakby dawny właściciel nie miał tu nic już do powiedzenia. Biedny nasz przyjaciel zrozumiał nareszcie swoje położenie. Stern oszukał go haniebnie, a do tego tak zręcznie, że dla braku jakichkolwiek świadków nie mógł go nawet ścigać sądownie.

Kiedy złamany na duchu myślał co począć, zjeżdża komisja sądowa, aby na żądanie Moszka sprzedać inwentarze i ruchomości Gozdawitów. Pan Władysław przyjął ten ostatni cios z rezygnacją. Człowiek jak on, w chwili wielkiej katastrofy nie mógł zdobyć się na energię. Kazawszy więc spakować swoje rzeczy, wyjechał natychmiast do syna, a przedtem wysłał jeszcze do starosty Grabowskiego list tej osnowy:

„Drogi Zygmuncie! Żydzi wyzuli mnie z ojcowizny i teraz ostatnie moje graty rozdrapują. Ponieważ sam pienięd y nie mam, a z Ryszardem nie mogę się tak prędko skomunikować, bądź więc tak dobry mój Zygmusiu i po otrzymaniu tej kartki przyjedź zaraz do Starejwsi. Cokolwiek ma większą wartość, zwłaszcza jako pamiątka familijna, to kup dla Twego kochającego cię wuja Władysława Gozdawy“.

Starosta listem przerażony, popędził do Starejwsi co koń wyskoczy, a biedny pan Gozdawa pojechał do miasta.

W drodze spotkawszy kilku dalszych znajomych, otrząsnął się w części z boleśnej rezygnacji, dzięki czemu do mieszkauia syna wszedł z lepszą miną niż ją z domu wywoził.

— Rysiu! Rysiu! — zawołał — święte były twoje słowa, że Stern mosterdzieju to wielki gałgan!

— Chwili o tem ojcze nie wątpiłem.

— A ja za niego był bym dał gardło sercuńciu! Tymczasem łotr wywłaszczył mnie, rozbił, zniszczył! Ale ja go rozumu nauczę, oddam go mosterdzieju do kryminału, w którym zgnije! A to rozbójnik!

Ryszarda smutna ta wiadomość ani zdziwiła, ani przeraziła. On już oddawna jej wyglądał.

— Niech się kochany ojciec nie martwi — rzekł, w rękę go całując — a teraz naradźmy się, co dalej robić. Przyznam się ojcu, że mi coś do głowy strzeliło i wydzierżawiłem piękny mająteczek na Podolu. Może by to ojciec zechciał wziąć odemnie.

— Co, jażbym to miał brać od ciebie sercuńciu? Nie! nie! matce twojej przyrzekłem, że się twoich pieniędzy nie tknę, i choćbym miał z głodu umrzeć, dotrzymam słowa! Wolę tłuc kamienie!

— Ależ kochany ojciec chyba mnie źle zrozumiał — syn podchwycił. — Przecie nie powiedziałem, żeby ojciec całą dzierżawę na własność obejmował... Dzierżawcą ja i nadal zostanę, ale ponieważ nie mam tam wytrawnego gospodarza, więc możeby kochany ojciec objął gospodarstwo na tantjemę. Czystym zyskiem będziemy się dzielili.

W miarę jak syn mówił, oblicze ojcu się rozjaśniało, a gdy skończył, rzucił mu się na szyję i uradowany zawołał:

— Rysiu! Rysiu! to projekt znakomity!... Ja już nie raz o tem myślałem sercuńciu, żeby się na Podole przenieść, bo tam inna ziemia, nie taka gałgańska jak w Starejwsi, ale mi zawsze trudno było. Dopiero ty Rysiu urzeczywistniłeś to swoim rozumem! To mi rozum mosterdzieju! Dzierżawa na Podolu to co innego!... Do kilku lat będziesz miał pieniądze, a i ja z mojej części kupię ci jeszcze lepszy majątek niż Starawieś... Będę pracował od rana do nocy, jak czarny wół! Ale mimo to Sternowi nie daruję, wsadzę go do kryminału, niech tam gnije mosterdzieju! Rysiu, sercuńciu, tyś pociechą mojej starości!

Tu po raz wtóry jedynaka do ojcowskiej piersi przycisnął.

ROZDZIAŁ IX.

NA TRYBUNIE.

Henryk Dobrzyński, odkąd z ust samej Róży usłyszał, że Ryszard nie jest jej obojętnym, znajdował się w stanie ciągłego rozdrażnienia. On się tego spodziewał, domyślał, nawet był pewny, że tak jest, a jednak nie chciał, by ona to potwierdzała. Jak w kształtach zewnętrznych tak i w duszy tego człowieka istny choas panował. Nic tam nie było logiczne związane, jedno z drugiego nie wypływało w sposób prawidłowy i naturalny, każde uczucie rodziło się samo z siebie nie wiedząc dla czego.

Do tych nielogiczności należała niechęć, powiemy więcej, prawie nienawiść, jaką pałał do Ryszarda. Nie Różę winił, że nad niego Ryszarda przeniosła, lecz Ryszarda, że ją mimowolnie natchnął miłością. Nie wiedząc, jak by się zemścić na człowieku, którego za współzawodnika poczytywał, a bądź co bądź pragnąc tej zemsty, zniżył się aż do oszczerstw, i on to pierwszy o śmierci Krystyny różne wieści rozpuszczał, aby chociaż

w ten sposób Ryszardowi dokuczyć. Później, ilekroć był w mieście, odwidzał Żylewicza, a drażniąc go rozmaitemi podszeptami do tego doprowadzał, że po każdej takiej pogadance nazajutrz pojawiał się w *Teraźniejszości* atykulik wymierzony przeciw Ryszardowi i jego gazecie. Wiedząc że Żylewicz zakochany w skandalach, lubi rozbierać swoich przeciwników życie prywatne, by w niem szukać tematu do polemiki śmiertelnej, nie raz wspominał mu także o tajemniczej śmierci Krystyny, nadmieniając, co ludzie o tem mówią; lecz albo sam Żylewicz tym wieściom wiary nie dawał, bądź też pan Wyżyński lepiej teraz doglądał swego współpracownika i nie pozwalał mu w gazecie niewinnych ludzi zabijać. Sprawa ta bowiem nie była nigdy poruszoną.

Garbus trzymał *Przyszłość* i pilnie ją czytał, pragnąc w politycznych przekonaniach swego przeciwnika znaleźć coś, coby go wobec kraju mogło skompromitować. Niestety nic takiego nie odszukał, chociaż czuł, że *Przyszłość* występując ciągle przeciw Austrji, nie czyni tego bez powodu, lecz w jakimś zamiarze ukrytym. O! ileż dał by za to, gdyby ten zamiar mógł przeniknąć i ukuć z niego broń na Ryszarda! Przeczucie mówiło mu, że ta broń była by śmiertelną...

Jak więc widzimy, Henryk Dobrzyński nie pogardzał niczem, co jego zemsty pragnienie bodaj w części mogło zaspokoić, a jednak ilekroć przeciw Ryszardowi coś przedsięwziął, zawsze tego potem żałował i sam siebie podłym nazywał. Niejednokrotnie przysięgał sobie nawet, że się poprawi i wspaniałomyślnie mu przebaczy, zaledwie jednak nadarzyła sie nowa sposobność szkodzenia przeciwnikowi, zły duch brał w nim górę nad dobrym aniołem i on znowu robił swoje. Namiętność i słabość, a z nich rodząca się sprzeczność, oto charakter garbusa.

Już od dwóch miesięcy pan Gozdawa mieszkał na Podolu, łudząc się różowemi nadziejami, gdy pewnego dnia garbus otrzymał od Sterna, który we Wiedniu ciągle jeszcze bawił, telegram z rozkazem, by nazajutrz był w stolicy i czekał go na kolei. Gdy pan każe, sługa musi; to też i on, mimo że z ciężkim sercem, niezwłocznie do miasta wyjechał.

Stern pędził na skrzydłach niecierpliwości. Z dłuższym jego pobytem we Wiedniu było teraz związanych niemało spraw ważnych. Najpierw chciał, aby pod jego nieobecność wyrzucono ze Starejwsi pana Gozdawę; następnie pragnął załatwić ostatecznie sprawę małżeństwa Róży, którą Rosenzweigowi przyrzekł w razie potrzeby nawet gwałtem oddać; nakoniec powiedział sobie, że tak długo będzie we Wiedniu siedział, dopóki od samego ministra nie otrzyma zapewnienia, że starosta Grabowski zostanie przynajmniej do innego powiatu przeniesiony. Rozwiązanie pierwszej z tych spraw nastąpiło lepiej jeszcze niż sam pragnął i przewidywał, pan Gozdawa bowiem dobrowolnie ustąpił; co do Salomona Rosenzweiga, ten nie miał nic przeciw temu, aby Różę i jej posag wziąć nawet przemocą; a co do starosty, ten w rzeczy samej za nietaktowne postępowanie miał być przeniesiony. Dokonawszy wszystkiego, był by zaraz do domu wrócił, gdyby nie okoliczność, że szukając dróg do ministra, zetknął się z rozmaitemi osobistościami, które mając stosunki w sferach najwyższych, powiedziały mu, że ponieważ w Austrji przygotowują się ważne zmiany, przeto aby wzmocnić zastęp rządowy, on, Stern, powinien koniecznie uzyskać w Galicji mandat do Rady państwa. Jeden z jego wyznawców, osobisty przyjaciel Rothschildów i Popperów, tak mu położenie wytłumaczył:

— Wiesz, że teraz rządzi stronnictwo niemieckie, z którem my co chcemy robimy... Stronnictwo autonomistów, złożone z samych feudałów i klerykałów, które marzy o takiej niedorzeczności, jak o pogodzeniu wszystkich ludów austrjackich, zaczyna krzątać się bardzo gorliwie i chce do Rady państwa wprowadzić swoich popleczników. Gdyby im się udało większość uzyskać, stronnictwo wiernokonstytucyjne, które dziś rządzi, a które feudały centralistycznem nazywają, było by rozbite, a wtedy i my niemało byśmy stracili. Dla tego powinieneś się koniecznie starać o mandat, aby wzmocnić nasze szeregi. Za to jak tu będziesz, pomówimy o koncesjach na nowe koleje...

Sternowi nie trzeba było tego powtarzać. Wszak on od niepamiętnych czasów marzył ciągle o zasiadaniu w wiedeńskim Reichsracie. Tym razem chciał jednak lepiej niż dawniej wszystko przygotować, aby zwycięztwo jego było pewniejsze.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

HISTORJA PARYŻANKI

NAJNOWSZA POWIEŚĆ OKTAWJUSZA FEUILLET.

(Ciąg dalszy.)

XI.

Dwa listy napisawszy, do matki i do Joanny, o godzinie jedenastej, wystrojony, woniejący i uśmiechnięty, wchodził na salony państwa d'Hermany. Pan domu, a świadek jego przeciwnika, wypatrzył się na swojego gościa niespodziewanego wzrokiem na razie osłupiałym, otrząsł się jednak prędko z pierwszego wrażenia, przyjął Jerzego otwartemi ramionami, znajdując — jak się później wyrażał — że postąpił prawdziwie po kawalersku i dowiódł tym czynem, że człowiek z niego, co się zowie! — Jasnowłosa pani d'Hermany, piękniejsza, posępniejsza i przewrotniejsza, niż kiedykolwiek, spostrzegła iż pan de Lerne błądzi wzrokiem po salonie, jakby kogoś szukał pomiędzy gośćmi zebranymi, spojrzała mu śmiało w oczy i rzekła krótko a węzłowato: „Drugie drzwi na lewo... w oranżerji, pod trzeciem drzewem palmowem na prawo... i ośmiel że się pan potem jeszcze utrzymywać, iż dobrą nie jestem!“ — Skłonił się przed nią z powagą i poszedł drogą wskazaną.

Do oranżerji wchodziło się ze salonu dwoma arkadami, z których jedna mieściła chwilowo orkierstrę. Oranżerja sama była także dużym salonem, sklepionym okrągło u góry i mieszczącym w pysznym, cudownym nieładzie, olbrzymie wazy japońskie, niebieskie w złote żyłki, baseny prześliczne z fontannami wytryskującemi i posągi marmurowe, na pół w zieleni ukryte; — niskie otomanki, otoczone fotelikami i taburetami, wyzierały z pod szerokich liści palmowych, z pod zwieszających się gałęzi, pełnych bladego kwiecia woskowego i z pod kielichów białych a mięsistych magnoli. Woń przenikająca, roślin z gorących stref podzwrotnikowych, powietrze przepełniała, a ze wszech stron, z pomiędzy grup rozmawiających, słychać było brzęk głosów zmieszanych, niby rój pszczół w ulu, który czasem stawał się tak potężnym, iż zagłuszał donośne dźwięki orkiestry.

W jednej z tych grup, — pod trzecią palmą na prawo — siedziała Joanna de Maurecamps, słuchając z roztargnieniem czczej paplaniny kilku adoratorów wieku rozmaitego. Gdy spostrzegła Jerzego, nagle twarz jej zajaśniała, tym uśmiechem czarującym, którym kobiety zwykłe obdarzać dzieci i kochanków, a który panom mężom mniej jest znany. Uśmiech ten słodki wystarczył, aby uspokoić i przekonać Jerzego, iż dotąd żadna wieść, tycząca się jutrzejszej rozprawy, nie doszła do uszu Joanny.

Z przybyciem hrabiego de Lerne, *trabanty* drugorzędni, otaczający dotąd Joannę, zaczęli powoli ustępować z uczuciem dziwnie pomięszanem, gniewu, niechęci, a przytem i jakiegoś mimowolnego poszanowania dla obojga, bo i chociaż ogólnie spotwarzano stosunek pani de Maurecamps z jej przyjacielem, każdy odczuwał w głębi serca, że jest w nim coś, na cześć niemal zasługującego. Nim się znalazł sam na sam z Joanną, pan de Lerne miał czas zastanowić się nad niejedną gorzką prawdą. Gdy stanął przed nią, tak go uderzyła jej piękność olśniewająca, jakby ją widział i podziwiał po raz pierwszy w życiu. — Nosiła z czystością Djany ówczesne mody nieskromne, a z wązkiego staniczka wychodził prawie w całości jej pyszny biust i ramiona jakby przez Fidjasza umodelowane. Jej czarne włosy, wzrastające trochę nisko, jak u bogiń greckich, były po prostu skręcone w ogromny zwój na szyję spadający. Główka jej prześliczna, pociągnięta tym wielkim ciężarem, cokolwiek w tył była podana, co jej nadawało trochę sztywności, a jednocześnie minkę hardą i pewną zwycięstwa. — Czuła się piękną i śmiała się rozkosznie, pokazując ząbki jak perły, wśród purpury ust dość pełnych. W obec tej czarownej istoty, pełnej inteligencji i pulsującej życiem namiętnem, Jerzy nie mógł uchronić się od dzikiego prawie uczucia, pożądania, żalu i gniewu. — On ją uszanował! On gwałt ten sobie zadał! On wzniósł się aż do tak szalonego heroizmu!... i oto jak jest za to wszystko wynagrodzony!

Z dziwną i szybką przenikliwością, kobietom właściwą, pani de Maurecamps zdawała się odgadywać coś niezwykłego, we wzroku palącym i ponurym młodzieńca; lica jej matowo blade spłonęły rumieńcem; męczyła w rękach wachlarz i chusteczkę, mocno zaambarasowana, wreszcie podniosła schylone czoło z bojaźnią i nieśmiałością:

— Nie masz pan dzisiaj swoich poczciwych oczów — rzekła słodko. — Co się panu stało?

— Takaś pani piękna! — szepnął Jerzy głosem stłumionym. — To mnię boli!

— Przejdzie! — roześmiała się wesoło. — Nie trzeba robić podobnych uwag mój przyjacielu, bo i do czego to prowadzi?... Czyż chciałbyś pan stać się na nowo materjalistą?

— Jestem nim co prawda od kwadransa!

— Pan wiesz, że mnie tem zasmucasz?

— Wszystko to dobre — odrzekł obok niej siadając — uważ pani jednak, iż nie jestem duchem bezcielesnym.

— Ale ja nim jestem — uśmiechnęła się jak dziecko naiwnie — i wielce czuję się tem uszczęśliwioną... zresztą, to pańska wina!

Nagle oczy jej łzą zaszły i zaczęła mówić głosem drżącym od wzruszenia:

— Oh! gdybym była pewną, że ty mój najlepszy przyjacielu, czujesz się szczęśliwym na równi ze mną! oto. o czem myślałam w chwili gdyś wchodził.

— Więc pani istotnie czujesz się szczęśliwą? — spytał tonem najwyższej czułości.

— Jestem szczęśliwa! szczęśliwa! szczęśliwa! — zazawołała w uniesieniu, z lubą otwartością, — i przez pana, możesz się tem poszczycić! Są nawet chwile, w których mnie to szczęście przeraża, wydaje mi się czemś nadto pięknem! — Pomyśl pan tylko — mówiła dalej głosem przyciszonym — kocham, jestem nawzajem kochaną i to wszystko bez zgryzoty, bez najmniejszego wyrzutu sumienia w teraźniejszości, bez bojaźni na przyszłość... gdyż dzięki Bogu i tobie mój przyjacielu, nie przestraszy mnie pierwszy zmarszczek, to widmo i kara jednocześnie, miłostek pospolitych. Czuję, iż postarzeję się bez przykrości... nawet z przyjemnością... gdyż przestawszy być młodą, będę wolniejszą, mniej zależną od pewnych względów światowych, więcej zbliżoną do ciebie... wreszcie mniej kompromitującą!... I tak naprzykład wyobrażam sobie, coby to była za rozkosz podróżować z tobą... ale na to trzeba być starą!... A tymczasem gdybyś wiedział, jak życie, jak świat cały innym mi się wydaje, odkąd czuję się kochaną, jak nią być chciałam... Bądź że pan dumny, proszę, z tego cudu, który jest twojem dziełem! Zdaje mi się, iż pan przeobraziłeś, podniosłeś, wydelikaciłeś niejako moje zmysły i całą moją istotę... żeś mnie nauczył... jakże by to powiedzieć?... iż wszystko co jest, od Boga bierze swój początek... żeś mi dopomógł patrzeć na każdą rzecz ze strony wzniosłej, szlachetnej... na wszystko co uderza moje oczy i myśl moją zajmuje... Doznaję tym sposobem rozkoszy nieznanych nikomu, rozkoszy niebiańskich, radości aniołów!... Na czem tylko wzrok mój spoczywa, wszystko dziwny blask opromienia, widzę wszędzie piękno doskonałe, któregom dotąd nie znała... Ot, naprzykład, to dziecińswo, ale nie dalej jak dzisiaj w lasku, patrzyłam na drzewa, które mnie niegdyś zupełnie były obojętne... i myślałam sobie: „Mój Boże! jakie to piękne takie drzewo! jak silne! jak wyniosłe! ile w niem życia"!... Niema dzisiaj jednego przedmiotu w naturze, jednego źdźiebełka trawy, któreby niewywoływało w mej duszy podobnego podziwu, podobnych zachwytów... Jestem najmocniej przekonaną... czy pan również tak sądzisz?... że wszystko na tym świecie ma dwie postacie, jedna materjalna i — że się tak wyrażę — pospolita, która jest widoczna i namacalna dla ogółu, druga tajemnicza, idealna, która nosi na sobie piętno boskości... i tę ja widzę, odkąd mi oczy otworzyłeś!... Oto twoje wielkie dzieło, mój przyjacielu!

Z sercem dziwnie ściśnionem słuchał jej pan de Lerne, a rysy jego przybierały wyraz coraz spokojniejszy i łagodniejszy:

— Tak — odezwał się wreszcie, wpatrując się w nią z czułością niewypowiedzianą — musi być Bóg... i życie doskonalsze... i duchy nieśmiertelne... skoro tu na ziemi pojawiają się istoty takie, jak ty pani!...

Nagle zapytał:

— Na Boga! Co pani takiego?!

Zdawało że zemdleje. Twarz jej pokryła się bladością śmiertelną, a oko szeroko rozwarte patrzyło przed siebie z tą martwotą, która wzrok ogarnia, gdy straszliwe widmo, przed nim się ukaże. Pan de Lerne obrócił się raptownie i spostrzegł barona de Maurecamps na progu oranżerji. Ten patrzał na nich przenikliwie w oczach zaś jego płonął dziki ogień, a twarz mu posiniała od gniewu wściekłego, co widząc Jerzy zerwał się na równe nogi, obawiając się wybuchu gwałtownego i natychmiastowego.

Pan de Maurecamps zbliżał się do nich krok za krokiem, walcząc widocznie ze złością namiętną, którą zaledwie powstrzymywał; po drodze jednak, pod krzyżującemi się ze wszech stron ciekawemi wzrokami obecnych, pod wrażeniem głębokiego milczenia, które nagle w całej olbrzymiej sali zapanowało, ostygał i poskramiał cokolwiek gniew szalony; dość, że stanąwszy przed żoną, rzekł tylko głosem głuchym i ochrypłym:

— Syn pani chory... jedźmy!

Joanna krzyknęła: „O mój Boże!... i zaczęła wypytywać się skwapliwie o bliższe szczegóły; zmiarkowawszy jednak rychło, po minie męża i mowie jego bałamutnej, że choroba dziecka, za pozór tu li służy, wyszła, słowa więcej niepowiedziawszy.

Pan de Maurecamps wstąpiwszy na chwilę do sali opery, wrócił do klubu. Tam usłyszał przypadkiem, iż Jerzy poszedł na bal do państwa d'Hermany. Wiedział, że żona również się na ten bal wybierała. Umysł jego nie był zdolny do pojęć wznioślejszych, tak jak serce uczuć szlachetniejszych nie znało, nie dziw więc, iż nie potrafił ocenić, jak uczciwe zamiary powodowały pana de Lerne, postąpić właśnie w ten sposób tego wieczora.

Widział w tem tylko zuchwałe drwiny z jego mężowskiej powagi, do których i żona jego należała; udał się więc natychmiast do pałacu państwa d'Hermany, bez żadnego planu naprzód ułożonego, tylko uniesiony nienawiścią i wściekłością, gotową popchnąć go i nie cofnąć się nawet przed publicznym skandalem. — Widzieliśmy, iż dzięki jakiemuś promykowi rozsądku i zastanowienia, który mu w ostatniej chwili trochę w głowie rozjaśnił, skandal nie był rażący: wystarczył jednak, aby w jednej minucie napiętnować na wieki honor jego i zniszczyć cześć jego żony.

XII.

Podczas gdy nowina o nagłem porwaniu pani de Maurecamps przez jej męża, przechodziła z salonu do salonu w głuchych szeptach, wybuchami śmiechu przerywanych, pan de Maurecamps rzucił się ciężko na poduszki powozu, obok Joanny.

Skoro więcej świadków nie mieli, przestał jej mówić o synie; to milczenie i cała jego sroga postawa, nie zostawiały choćby cieniu złudy nieszczęśliwej młodej kobiecie. Czuła, że tonie bez ratunku; — było to osłupienie idjotyczne istoty spiorunowanej wśród pełni życia, szczęścia, niewinności, oburzenie boleśne kobiety uczciwej, znieważonej publicznie, obawa nieokreślona jakiejś katastrofy nieznanej, ale bliskiej i straszliwej.

W tym zamęcie niewypowiedzianym oniemiała, czekając aby mąż przemówił, czekała jednak nadaremnie i droga krótka zresztą z ulicy Gabriel na ulicę Atma, skończyła się, a oni nieprzemówili ani słowa do siebie.

Joanna wyswobadzała powoli ducha swojego, z natury dzielnego i energicznego, z chaosu wrażeń, w który wtrąconą została niespodziewanie. Przeszła krokiem pewnym i z głową dumnie podniesioną wielką sień swojego pałacu, po pod oczyma kilku lokai stojących nieruchomo i dalej w milczeniu wstępowała na schody pierwszego piętra, któremi szło się do jej apartamentów, dopiero gdy zobaczyła, że mąż, nawet okiem na nią nie rzuciwszy, mija przedsionek, aby pójść na drugie piętro do siebie, przemówiła krótko i zimno:

— Prosiłabym cię, abyś raczył wstąpić do mnie, na chwilkę, mam ci coś powiedzieć.

Zawahał się; jak ogół męszczyzn nienawidził wszelkich eksplikacyj, w rzeczywistości jednak był to charakter raczej gwałtowny niż silny; ton spokojny i stanowczy jego żony zaimponował mu, drażniąc go jednocześnie. Poszedł wprawdzie za nią, ale w wyższym jeszcze stopniu rozgniewany. — Zamknęła drzwi za nim i przeszła do budoaru, poprzedzającego jej pokój sypialny; wtedy obróciwszy się do niego i patrząc mu w oczy rzekła:

— Koniec końców, cóż to się dzieje?

— To jest — odpowiedział — iż zabiję jutro rano pani kochanka, oto co się dzieje!

Splasnęła głośno dłońmi i dalej wpatrywała się w niego okiem błędnem, z ustami na pół otwartemi.

— Dość już długo — zaczął znowu, zakląwszy straszliwie i pobudzając się do coraz większej irytacji gwałtownością słów swoich — dość długo wyzywacie mnie... znieważacie oboje... śmiesznością okrywacie... skończy się to nareszcie!

— Jesteś pan nieszczęsnym szaleńcem — rzekła łagodnie. — Nie mam kochanka!... Ale mów pan dalej... Chcesz więc wyzwać pana de Lerne?

— Nie potrzebuję wyzywać — odrzucił z tą samą brutalną fanfaronadą — rzecz skończona! bijemy się jutro!

Młoda kobieta załamała ręce rozpaczliwie i wydała jęk bolesny. Pan de Maurecamps zdawał się jednak wstydzić swojego brutalstwa, mówił prędko, prawie bełkocąc:

— Rzecz jasna, iż nie miałem zamiaru uprzedzać pani o tem... to nie jest moim zwyczajem... samaś tego chciała... zmusiłaś mnie niejako... przyprowadziłaś do ostateczności... On sam zresztą przebrał miarkę dziś wieczór... umizgać się dalej do żony publicznie, gdy się pojedynkuje nazajutrz z jej mężem, to nie godne człowieka dobrze wychowanego... to prosta nikczemność.

— Pan de Lerne — zawołała z mocą Joanna — nie umizgał się do mnie nigdy — przynajmniej nie w tym sensie, jak to pan dajesz do zrozumienia... Pański honor, chyba przez ciebie samego jest nadwyrężony... twój pojedynek z nim byłby szaleństwem... brzydkim czynem... zbrodnią... bo przysięgam ci na Boga... na życie syna mojego... że był dla mnie tylko przyjacielem!

— Ma się rozumieć! — zaśmiał się szydersko p. de Maurecamps. — Myślę jednak, iż tego dosyć, a nawet za nadto!

I ku drzwiom zawrócił.

Rzuciła się naprzód, drogę mu zastępując:

— Nie, nie! proszę pana — krzyknęła — błagam, nie odchodź jeszcze!... Gdybyś wiedział, czem to jest dla kobiety... która bądź jak bądź cierpiała, walczyła, znosiła pokusy.. została jednak uczciwą, czystą i wierną... widzieć się nie tylko posądzoną, ale potępioną, ukaraną z tym nadmiarem niesprawiedliwości i srogości... gdybyś mógł zrozumieć, co się dzieje wtedy w jej głowie nieszczęśliwej, gdybyś wiedział, co możesz zrobić ze mnie na nic nie uważając... obchodząc się ze mną... co najwięcej nierozważną... jak gdybym była istotnie występną!

— Ah! dość już tych deklamacji! — odrzucił brutalnie, starając się jej pozbyć.

Zatrzymała go jednak, wyciągając ku niemu błagalne ramiona — oparł się o kominek z miną kwaśną i znudzoną.

— Znasz pan tak dobrze, jak i ja — mówiła dalej — historją naszego smutnego pożycia... krótkoś mnie kochał... jam temu była winna niezawodnie... niepodobałam się panu... moje upodobania nie były twojemi... wszystko co robiłam, w czem się kochałam, pana gniewało i nudziło... Opuściłeś mnię... oddałeś się innym przyjemnościom — było to całkiem naturalne... czułam iż nie wolno mi nic powiedzieć, skoro nie umiałam zatrzymać pana przy sobie... ale byłam bardzo młodą w owym czasie... lata już odtąd przeminęły... i wtedy istotnie byłam narażoną na wielkie niebezpieczeństwa, chętnie wyznaję. Sama na świecie, zniechęcona, zdenerwowana, bez podpory... otoczona złemi przykładami, narażona na złe rady, prześladowana i już na wpół zepsuta przez ludzi, których pan wcale o to nie posądzałeś... prawda, iż była chwila, że się uczułam na rozdrożu... bardzo bliską upadku... A wtedy przyjaźń mnię uratowała... ta sama przyjaźń, którą mi pan jako zbrodnię wyrzucasz... pan de Lerne był dla mnie...

— Bratem! — przerwał pan de Maurecamps, tym samym tonem ironji obelżywej.

— Niech i tak będzie — zaczęła znowu z coraz większym zapałem — był bratem... skoro pan tak chcesz... Ale on mnie uratował, to jest prawdą niezbitą!... Gdy zaczynałam smakować w przyjemnościach zakazanych, on mi powrócił upodobanie w rozkoszach dozwolonych... i jeżeli żona twoja nie jest obecnie kobietą upadłą, jemu to jedynie zawdzięczasz... i ty chcesz go zabić!... Czyż to sprawiedliwie? Czyż to uczciwie?... Sam powiedz!

— Sprawiedliwie, czy nie, postaram się o to niezawodnie, tego bądź pani pewną!... A teraz proszę mnie puścić.

— Ależ, przez miłosierdzie Boże! cóż z pana za człowiek, jeżeli mnie nie wierzysz, a wierząc, jeżeli trwasz w zamiarach nienawiści i zemsty!... Nie, nie, nie znużę się, będę się dalej odwoływała do pańskiej sprawiedliwości i prawości... Bóg mi świadkiem, iż nie chciałabym ani jednem słowem dotknąć pana... ale w pożyciu, jakiem było nasze... w położeniu równem mojemu... cóż chcesz aby młoda kobieta robiła ze swoim czasem, sercem, myślami, życiem całem nareszcie?... Pan masz twoje metresy... zostaw że tej kobiecie przynajmniej jej przyjaciół... i bądź przekonanym, iż musisz wybierać pomiędzy przyjaciółmi, do których się otwarcie przyznaje, lub kochankami, z którymi się taić będzie.

— Koniec końców — krzyknął zniecierpliwiony pan de Maurecamps — czego pani chcesz odemnie? Czego żądasz? Czy nie wymagasz przypadkiem... tego, byłoby co prawda trochę za wiele!... abym podał rękę panu de Lerne, pięknie go przeprosił i błagał następnie, aby raczył rozpocząć na nowo stosunki dawne z panią?

— Tak, — odrzekła z energją — tego właśnie żądam od pana... wyjąwszy przepraszania ma się rozumieć!... a żądając czegoś podobnego, nie wymagam jak tylko rzeczy sprawiedliwej, uczciwej i rozsądnej... rzeczywiście, tym jedynym sposobem możesz pan naprawić krzywdę, którąś sam wyrządził twojemu honorowi i czci mojej... jest to jedyny środek, aby zadać kłam obmowom, które może już po świecie obiegają i którym twój czyn dzisiejszy nadał pozór prawdy niestety! a pojedynek stoczony byłby tychże uświęceniem nieodwołalnem!... Jeżeli masz pan odwagę przyznać słuszność twojej żonie niewinnej... prawda ma moc przekonywającą... uwierzą panu, bądź tego pewny!... a ja, gdybyś wiedział jak będę tem rozczulona, jak wdzięczna!... jak będę w przyszłości uważała, aby cię niczem nie podrażnić, w czem nie byłam może dotąd dość ostrożną... kto wie nawet, czy ten czyn szlachetny nie byłby między nami nowym węzłem?... Nie jedno w życiu przeszedłszy, nauczona doświadczeniem... cierpieniem... kto wie, czy nie zbliżyłyby się serca nasze... kto wie?... toby już zupełnie od ciebie mój drogi zależało, zaręczam!... jeżelibyś chciał tylko w przyszłości... mógłbyś zostać... a tego powinienbyś był pragnąć zawsze... moim najlepszym... moim jedynym przyjacielem.

— Wszystko to bardzo piękne! — odrzekł pan de Maurecamps, z dumą głowę podnosząc i usta wzgardliwie wydąwszy — ale to czysty romans!... Zawsze ta nieszczęsna żyłka romantyczna, która was wszystkie gubi!

— O mój Boże! — młoda kobieta łzami się zalała, z rozpaczą wzrastającą ręce załamując — a więc czegoż pan sam żądasz? Abym nie przyjmowała pana de Lerne, abym go więcej nie widziała, nie mówiła z nim nigdy... abym ci poświęciła tę przyjaźń... i wszystkie inne, które mogłabym zawiązać w przyszłości?... Niech i tak będzie! przyrzekam to panu... przysięgam nawet... Będę żyła samotna... jak będę mogła... Zresztą mój syn podrośnie... nim się zajmę... to dziecię stanie się moim przyjacielem... Tak, tak, czuję, że to możebne, przysięgam na to panu i słowa dotrzymam... ale na Boga! zaklinam cię mój drogi, zaniechaj tego pojedynku!... niema do niego podstawy... niema powodu... jest to coś potwornego, zaręczam ci! Patrz, na kolanach błagam cię o tę łaskę!

Rzuciła mu się do nóg rozszalała i łkająca.

— Że złożonemi rękoma żebrzę u ciebie miłosierdzia.. całem sercem... wszystkiemi łzami mojemi! bądź dobrym! proszę cię! Daj się ubłagać!... nie przyprowadzaj mnie do rozpaczy ostatecznej!... bezgranicznej!...

— Ah! — zawołał pan de Maurecamps, odtrącając ją od siebie — teraz w melodramat wpadamy!

Dźwignęła się w górę cokolwiek, prędko oczy z łez otarła, a porywając go za obie ręce gwałtownym uściśnieniem:

— Ah nieszczęsny! — głucho jęknęła — nie wiesz co czynisz, nie wiesz, nie!... Nie powiem ci, że mnie zabijasz... to by było za mało powiedziane... ty mnie wiedziesz na potępienie! ty mnie na dno piekła strącasz!

I nagle puściła jego ręce, pokazując na drzwi gestem rozkazującym:

— A teraz idź sobie... *Adieu!*

Pan de Maurecamps wyszedł.

Po odejściu męża, młoda kobieta została chwil kilka zgięta w pół i jakby złamana na kobiercu, z włosami rozpuszczonemi, z okiem błędnem i suchem, poruszając od czasu do czasu ręką, ruchem obłąkanych. — Wyprowadziło ją z tego odrętwienia lekkie do drzwi zapukanie. Powstała natychmiast. Weszła jej pokojowa.

— Jaśnie pani — rzekła — hrabina de Lerne zajechała i prosi o chwilkę rozmowy.

— Hrabina de Lerne?

— Tak jest. Czy mam powiedzieć, że jaśnie pani cierpiąca? Tak pani okropnie zbladła!...

— Prosić!

W chwilę później weszła pani de Lerne — posiniała, z oczami obłąkanemi, z twarzą zapadniętą i rysami konwulsyjnie wykrzywionemi. Nie uważając z razu okropnego stanu Joanny, zbliżyła się do niej krokiem sztywnym upiora i jękła patrząc jej w oczy:

— Twój mąż bije się jutro z moim synem!

— Wiem — szepnęła Joanna — w tej chwili mi o tem powiedział.

— Ah! — zaśmiała się gorzko stara kobieta — przyszedł z tem do ciebie?... To postępek podły, haniebny!

— Tak! — Joanna powtórzyła. — Ale zkąd pani się o tem dowiedziałaś?

— Przez Ludwika, mojego sługę starego; ten czegoś się domyślając, podsłuchał całą sekundantów rozmowę.

— Ale pani wiesz — podchwyciła Joanna — że nie ma cieniu złego między mną a synem twoim?

Prawdę mówiąc, była to nie lada nowina dla staruszki, to też w zamęcie, w którym się znajdowała, nie potrafiła ukryć naiwnego zdziwienia.

— A więc niema dowodów? — rzekła.

— Dowodów czego? — Joanna odrzuciła. — Mówię przecie pani, że nic między nami nie było!

— A twój mąż nie chciał w to uwierzyć?

— Nie!

— Zatem... żadnej nadziei?

— Żadnej!

Pani de Lerne upadła na fotel i pozostała tamże nieruchomą, niemą, bezwładną.

Po chwili głuchego milczenia, Joanna, która dotąd chodziła po salonie, stanęła nagle przed nią.

— Czy syn jest u pani?

— Jest u mnie.

— Powóz pani stoi przed bramą?... — Joanna dokończyła. — Dobrze!... jadę z panią... muszę go widzieć!

Wśród tej mowy brała na siebie futro i głowę w jakąś gazę owijała.

Pani de Lerne powstała niepewna i wahająca.

— Czy to rozsądnie? — zauważyła.

— Cóż pani chcesz, aby się stało gorszego? — rzuciła ręką Joanna z najwyższem lekceważeniem — i pociągnęła za sobą staruszkę.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ORDYNAT.

PRZEKŁAD Z NIEMIECKIEGO

przez Helenę Wilczyńską.

(Ciąg dalszy.)

— Wiesz przecie, co dalej nastąpiło. Po raz drugi rozerwałem gwałtownie ten związek nieszczęsny, przedstawiając obojgu jego smutne następstwa, jego zresztą występność. On to pierwszy zrozumiał i... tym razem pożegnali się na zawsze. Mówiłem ci, że wizerunek przedstawia dawno umarłego. W rok niespełna wybuchła wojna. Szukał śmierci i znalazł ją w pierwszej bitwie na polu chwały. Znasz teraz całą tę smutną historję, spróbuj więc zapanować nad sobą. Pojmuję, czem był ten cios dla ciebie, trzeba go jednak znieść jako przeznaczenie nieubłagane.

— Tak, jako przeznaczenie! — powtórzył Edmund ponuro — tylko że ja ginę pod jego ciężarem.

— Nie umiera się na zawołanie, po pierwszej burzy, która dotknęła naszego czoła — odrzekł wuj surowo — i ty nauczysz się znosić, co znieść musisz! Bądź męszczyzną Edmundzie, zbierz siły, zaniechaj tego ponurego zatapiania się w przeszłość, bo i cóż to pomoże? Może byś przecie zechciał matkę zobaczyć?

— Nie, nie! Tylko tego nie żądaj wuju odemnie! — Edmund wyrwał dłoń z ręki barona i chwiejnym krokiem zaczął znowu pokój przemierzać.

— Zastanów się Edmundzie! Nie możesz przecie siedzieć wiecznie w twoim pokoju?

— Opuszczę go dziś jeszcze. Za dwie godziny odjeżdżam!

— Odjeżdżasz? Dokąd?

— Do stolicy!... do Oswalda!...

— Do Oswalda?! — krzyknął baron wpatrując się w siostrzeńca z przerażeniem i niedowierzaniem, jakgdyby słuch go omylił. — Czyś ty oszalał Edmundzie!

— Więc na prawdę mogliście przypuścić, że będę dalej cierpliwem narzędziem w waszym ręku? — zaśmiał się Edmund dziko, a rumieniec gniewu oblał szkarłatem jego twarz trupią! — Nie spodziewałem się tego. Mam więc bez końca podle oszukiwać, zdradzać haniebnie przyjaciela, odgrywać nędzną rolę podrobionego przez was ordynata, podczas gdy prawdziwy potomek Ettersberg'ów, wypędzony przez was z domu ojców swoich, wyzuty i odarty ze wszystkiego, będzie się w świecie poniewierał i staczał ciężką walkę z losem, aby sobie zapewnić chleb codzienny! Wyście się na coś podobnego zdobyli... ja tak nikczemnym być nie potrafię! W jaki sposób opowiem mu to... to... straszliwe przeznaczenie! czy pierś mi wprzód nie pęknie, zanim zdołam te słowa wypowiedzieć... nie wiem! Dość, że jadę do Oswalda. On musi o wszystkiem wiedzieć.. a potem... niech co się chce ze mną dzieje!

Heideck stał osłupiały. Wszystko najgorsze przypuszczał, ale na podobny obrót tej sprawy nie był przygotowany. Gdyby Edmund się dowiedział, że miniatura była przedtem w ręku Oswalda i że tamten wie o wszystkiem, katastrofa byłaby nieuniknioną; a wuj dyplomata, obrachowywał lepiej jej fatalne skutki, niż siostrzeniec rozgorączkowany i szlachetnem oburzeniem uniesiony. Za jaką bądź cenę wstrzymać musiał Edmunda i do podobnego wyznania nie dopuścić.

— Zapominasz — rzekł z naciskiem — że nie o ciebie jednego tu idzie. Czyś się zastanowił, kogo oskarżyć zamyślasz?

Edmund zadrżał, a rumieniec gorączkowy znowu trupiej bladości ustąpił.

— Oswald był oddawna wrogiem Emmy. Nienawidził jej, o czem dobrze wiedziała. A ty chcesz przed nim oskarżać twoją matkę, w sposób, który ją zabić musi. O! jakże będzie tryumfował, gdy ujrzy tę znienawidzoną przez siebie kobietę, zbezczeszczoną, w prochu leżącą u jego stóp, którą syn rodzony...

— Przestań wuju! — Edmund z dzikim krzykiem obie ręce wplótł we włosy rozpaczliwie. — Przestań! bo mnię istotnie o szaleństwo przyprawisz!

— Nie myślałam, abyś mógł choć na chwilę wahać się między twoją matką a Oswaldem — zauważył baron z gorzkim wyrzutem. — Nie masz wyboru, musisz i ty schylić dumne czoło przed koniecznością.

Edmund padł na fotel, zakrył twarz rękami, a głuche łkanie pierś mu rozrywało.

— Czy sądzisz — mówił wuj dalej, a słowa spadały powoli, jak owe krople, które są w stanie najtwardszą skałę wydrążyć. — Czy sądzisz — powtórzył — że mnie łatwo przyszło popełnić owe oszustwo i zdradę,

jakeś ty się o tem raczył przed chwilą delikatnie wyrazić? Wtedy, jak i dziś, nie było wyboru! Ordynacji nie możesz przenieść na innego, bo ona do twojej li osoby jest przywiązaną; wyznanie więc przed Oswaldem na nic by się nie przydało; musiałbyś przed całym światem wydać tajemnicę i rzucić ludziom na łup honor obu naszych rodów. Innego wyjścia niema! Wytłumaczyłem to wtedy mojej siostrze, gdy chciała odkryć wszystko mężowi; tę nieubłaganą konieczność musisz i ty uznać i zrozumieć. Musisz milczeć! A chociaż dla tego przyjdzie poświęcić przyszłość Oswalda, nic to biegu rzeczy zmienić nie może. Honor i dobre imię Heideck'ów i Ettersberg'ów, stoi wyżej niż jego prawa!

Mówił z zimną rozwagą i niezachwianym spokojem. Właśnie ten spokój działał na Edmunda i coraz mocniej o owej — jak się wuj wyraził — nieubłaganej konieczności go przekonywał. Okropną walkę staczał sam z sobą, z poczuciem sprawiedliwości, która tak głęboko tkwiła w duszy szlachetnego młodziana. Przypomniał sobie pytanie Oswalda: „A gdybyś musiał milczeć, aby ratować honor rodziny?“ Jeszcze i teraz nie przywiązywał do tych słów głębszego znaczenia, nie przypuszczał, aby Oswald mógł się czegoś domyślać; rozmowa tak im się wtedy naturalnie układała... zastanawiał się jedynie nad olbrzymią różnicą owego wieczora z chwilą obecną.

Z jakąż dumą mówił o swojej matce, jak uroczyście zapewniał wtedy, że nie zniósłby cieniu kłamstwa w swojem życiu, że musi iść przez świat z czołem jasnem, bez plamy!... a dziś!...

Baron nie tracił czasu. Aby sobie zapewnić zupełne zwycięztwo, chwycił się ostatniego heroicznego środka.

— A teraz — wtrącił innym zupełnie tonem, pełnym rzewnej czułości — chodź do twojej matki. Nie masz pojęcia w jakim jest stanie od wczoraj! W trwodze śmiertelnej oczekuje biedna wieści o tobie, choćby jednego słowa z ust twoich! Chodź do niej! chodź!

Edmund pozwolił pociągnąć się ku drzwiom, zatrzymał się jednak na progu:

— Nie mogę! — jęknął boleśnie.

Baron, nie uważając na te słowa rozpaczliwe, drzwi otworzył i chciał prawie przemocą zmusić siostrzeńca, by poszedł za nim. Ten jednak oparł się stanowczo.

— Nie mogę matki widzieć! — rzekł głucho. — Nie zmuszaj mnie do tego wuju, chyba że chcesz powtórzenia okropnej sceny, która wczoraj się odbyła.

Wyrwał się baronowi, i pociągnął za taśmę od dzwonka. Wszedł Eberhardt.

— Konia natychmiast! — rozkazał.

— Więc wszystko com powiedział było nadaremne! — baron ręce załamał, skoro drzwi zamknęły się za staruszkiem. — Odjeżdżasz by nas zgubić i zhańbić!

— Nie, zostaję! — odrzekł Edmund lodowato. — Chcę tylko zaczerpnąć powietrza, bo mnię coś dławi i dusi. Puść mnię wuju!

— Daj mi wprzód słowo, że nic przeciw nam nie przedsięweźmiesz nierozważnego. W stanie, w jakim cię widzę, jest się zdolnym do największego nawet szaleństwa! A cóż mam twojej matce powiedzieć?

— Co chcesz wuju! Daję ci słowo, że niemam nic więcej na myśli, prócz kilkogodzinnej przejażdżki. Może potem lepiej będzie!

Nie zatrzymywał go wuj dłużej. Czuł, że tu słowa nie pomogą. Ruch gwałtowny i zmęczenie fizyczne, mogły istotnie skuteczniej działać, niż najwymowniejsze perswazje.

Godziny mijały, wieczór nadszedł, a młody hrabia dotąd nie wracał. W pałacu, z każdą minutą rósł niepokój o niego. Baron srogo sobie w duchu wyrzucał, że popełnił równą tej niedorzeczność i puścił siostrzeńca w stanie tak dzikiej rozpaczy. A nie mógł nawet zdradzić się ze swojem uczuciem, aby nie dobijać siostry, która i bez tego upadała pod ciężarem śmiertelnej troski i trwogi o syna. Biegała z pokoju do pokoju, od okna do okna; na wszystkie słowa pociechy, któremi brat starał się ją uspokoić, odpowiadając jedynie ciężkiem westchnieniem i smutnem głową potrząśnieniem. Ona znała syna lepiej niż ktokolwiek, i wiedziała do czego jest zdolnym, tak straszny cios otrzymawszy.

— I cóż pomoże wysyłać posłańca na posłańcem! — odpowiadał siostrze, która rady już sobie dać nie mogła. — Będzie tylko więcej szeptów w domu i więcej komentarzy o całej tej historji. Nie wiemy nawet w przybliżeniu, którędy poleciał i w jakim kierunku szukać go mamy. Zmrok zapada. Warjat dosyć się już nauganiał. Niedługo zapewne powróci.

— A może jednak odjechał! — szepnęła hrabina, nie odwracając oczu od aleji na gościniec prowadzącej.

— Nie! — odrzekł baron stanowczo. — Tego nie potrzebujemy się obawiać. Za nadto dobitnie mu wytłumaczyłem, kogo musiałby potępić w pierwszej linji przez swoje wyznanie. Do Oswalda nie pojedzie z pewnością! Może jednak...

Nie dokończył przez wzgląd na hrabinę. I jemu najczarniejsze myśli do głowy przychodziły, i on zaczynał się obawiać rozwiązania tragiczniejszego, niż samo nawet wyznanie przed Oswaldem.

Znowu głuche milczenie zaległo w salonie, jak już nie raz tego dnia nieszczęsnego. W tem hrabina głośno krzyknęła, okno gwałtownie rozerwała i cała się po za nie wychyliła. Baron to samo uczynił, niczego jednak dostrzedz nie mógł. Matki oko jedynie mogło dojrzeć wśród mgły i zmroku wieczornego syna, który istotnie pokazał się na końcu aleji. W tej chwili ta kobieta tak silna, tak dumna, nie umiała nad sobą zapanować. Zapomniała, że przed służbą za chorą uchodzi, nie pomyślała jak ją Edmund powita, tylko o tem pamiętała, że wraca jej jedynak, jej szczęście całe! i zleciała na dół po schodach. na to samo miejsce, gdzie go pierwszy raz przyjmowała, kiedy z Włoch przyjechał.

Kilka minut czekała jeszcze w sieni. Edmund, który z przed domu, spiąwszy konia ostrogami, puścił się był w szalonym galopie, wracał teraz krok za krokiem. Gdy nareszcie przed gankiem stanęli, koń był okryty pianą gęstą i białą, drżał na całem ciele i ledwie mógł się na nogach utrzymać. Nie lepiej działo się i z jeźdźcem. Edmund, który zwykle z konia lekko zeskoczywszy, jednym susem już był w sieni i na schodach, teraz zaledwie przy pomocy nadbiegłej służby leniwo zlazł z konia i na ramieniu Eberhardta oparty, chwiejnym krokiem, zataczając się jak pijany, wszedł do sieni i na pierwsze stopnie schodów, ponuro w ziemię zapatrzony.

Odzienie na nim do nitki przemokło, włosy w nieładzie do czoła i skroni poprzylepiane, aż na oczy mu spływały w ciężkich od wilgoci kosmykach. Zwrócił się powoli na lewo i chciał wejść na korytarz do jego pokoi prowadzący.

— Synu!

Był to raczej jęk niż wołanie. Edmund podniósł szklisty, błędny wzrok od ziemi i teraz dopiero spostrzegł matkę o krok od siebie. Nie dodała więcej ani słowa. O tem, co od wczoraj przeszła i przecierpiała, o strasznej boleści, o trwodze śmiertelnej, świadczyły najwymowniej lica zapadnięte, oczy z płaczu podpuchłe i gorączką pałające, i to spojrzenie łzawe, błagalne, którem syna obrzuciła, wyciągając ku niemu drżące ramiona. Nie cofnął się przed matki uściskiem, nie odtrącił jej od siebie. Zimnemi jak lód ustami dotknął się nawet jej czoła i rzekł tak cicho, że raczej słowa jego sercem odczuła, gdyż uchem schwycić ich nie mogła:

— Uspokój się matko! Spróbuję znieść tę... niedolę... dla ciebie!

Od dwóch miesięcy bawił Oswald w stolicy, gdzie został najżyczliwiej przyjętym. Adwokat Braun zajmował najpierwsze miejsce między prawnikami krajowymi, a synowi swojego najlepszego przyjaciela nie odmawiał tak rady jak i czynnej pomocy. Cenił wysoko poczucie sił własnych i męzką energję młodzieńca, z jaką potrafił zerwać węzły zależności, nie łudząc się co do stanowiska w domu krewnych bogatych. Nie jednemu żal by było wygódek i przepychu, który Oswalda w Ettersberg otaczał; on jednak wybrał zawód ciężki, niepewny, byle stanąć samodzielnie i nie odbierać dłużej dobrodziejstw upokarzających głęboko jego godność osobistą.

Państwo Braun byli bezdzietni, młodego zatem gościa za syna niemal uważali. Z namiętną gorliwością wziął się Oswald do pracy. Zbliżający się egzamin państwowy chwili odetchnienia mu nie zostawiał. Nie miał nawet czasu myśleć o tem, co w Ettersberg pożegnał, zastanawiało go jednak, że żadne wieści z tamtąd go nie dochodzą. Na jego pierwszy list, długi i wyczerpujący, Edmund zaledwie kilkoma słowy odpowiedział, z których wiał dziwny przymus. Krótkość tychże starał się bolącą i dotąd niezagojoną ręką wytłumaczyć. Na drugi list Oswalda dotąd odpowiedź nie nadeszła, chociaż od jego wysłania minęło kilka tygodni.

Oswald domyślał się wprawdzie, że odesłanie miniatury przyczyni się w wysokim stopniu do zerwania ostatnich nici, wiążących go jeszcze z Ettersberg'em, wiedział, że hrabina użyje całego wpływu na syna, aby go ile możności usuwać od Oswalda, nie sądził jednak, aby młody hrabia tak łatwo i w tak krótkim czasie uległ temuż wpływowi. Edmund był trochę lekki, ślizgał się chętnie po powierzchni życia, przyjaźń jednak do towarzysza tyloletniego brał na serjo, był w niej stałym i wytrwałym. W kilka tygodni nie mógł o nim zapomnieć. Coś innego było w grze, co mu do pisania przeszkadzało.

Grudzień się zaczął. Oswald złożył świetnie egzamin i chciał natychmiast zacząć swój zawód. P. Braun jednakże nie dopuścił do tego. Uważał, że młodzieniec potrzebuje koniecznie odpoczynku po kilkotygodniowej nużącej pracy i prosił go usilnie, aby jeszcze czas jakiś chciał się za jego gościa uważać. Oswald wahał się i ociągał z przyjęciem serdecznej propozycji zacnego przyjaciela, przystał na nią wreszcie, czując sam, że istotnie odpoczynek kilkotygodniowy będzie dla niego zbawiennym. W walce zaciętej o byt samodzielny na nic nie zważał, zanadto szafując nocami bezsennemi, które trawił na ciężkiej i mozolnej pracy, za nadto ufając młodzieńczym siłom, które jednak wyczerpały się w końcu.

Adwokat Braun siedział jeszcze w swojej kancelarji, tylko co skończywszy urzędowe godziny, gdy wszedł Oswald, aby swój list doręczyć do pakietu, który wkrótce służący miał na pocztę odnieść.

— Czyś pan pisał do Ettersberg? — spytał staruszek, wzrok na Oswalda podnosząc.

Oswald potwierdził skinieniem głowy. Donosił o szczęśliwie odbytym egzaminie. Na ten list musi przecież nadejść odpowiedź! To długie milczenie zaczynało go już na serjo niepokoić.

— Właśnie była mowa o dobrach pańskiego kuzyna — wtrącił adwokat. — Jeden z moich klientów jest w trakcie zawarcia tamże układu o wielką sprzedaż drzewa i radził się mnie co do kilku punktów, które chce umieścić w kontrakcie.

Oswald wytężył uwagę.

— Znaczna sprzedaż drzewa? — powtórzył zdziwiony. — To chyba pomyłka. Lasy do Ettersberg należące, tak bez miłosierdzia w ostatnich latach przetrzebiono, iż potrzebują obecnie wielkiego zaszanowania. Mój kuzyn wie o tem dobrze i nie mógłby podobnego kontraktu zawierać.

Adwokat wzruszył ramionami.

— A jednak tak jest z pewnością. Mój klient nie traktuje wprawdzie z samym hrabią, tylko z tegoż pełnomocnikiem. Musi on mieć zapewne pozwolenie do zawierania w imieniu hrabiego układów podobnych.

— Rządca opuszcza wkrótce Ettersberg — odrzekł

Oswald — jeszcze przeszłego lata został oddalonym. Nie mogę przypuścić, aby Edmund dotąd zostawiał w jego ręku pełnomocnictwo bardzo rozciągłe, które miał od mojej stryjenki i od naszego współopiekuna, barona Heideck. Jeżeliby jednak po odebraniu zarządu dóbr na siebie, zostawić miał te papiery w rękach rządcy, to...

— Popełniłby — adwokat uzupełnił — niedbalstwo i lekkomyślność nie do darowania. Rządcy, którego się oddala z powodu, iż się jest z niego niezadowolonym, zostawiać w rękach tak niebezpieczne papiery, ależ to istne szaleństwo! Czy pan istotnie myślisz, że twój kuzyn byłby zdolnym do czegoś podobnego?

Oswald zamilkł. Znał on aż nadto dobrze Edmunda. Wiedział, ile jest obojętnym i roztargnionym w sprawach tyczących się zarządu jego majątku. Był przekonany, że rzecz tak się ma, a nie inaczej.

— Cena kupna jest znaczną — ciągnął dalej adwokat, zrozumiawszy należycie przykre milczenie. — Wprawdzie jak sam mój klient utrzymuje, drzewo dają mu za pół darmo, lecz wymagają, aby całą sumę z góry wypłacić.

— To wszystko bardzo mi się niepodoba.

Oswald zamyślił się głęboko.

— Dotąd wprawdzie rządca był tylko niedołężnym i niedbałym, kto wie jednak, czy teraz, wiedząc, że i tak już stracił posadę doskonałą, nie da się skusić pomyślnym dla niego okolicznościom i czy nie ma na myśli oszustwa na wielką skalę. O tem jestem przekonany, że Edmund nie pozwoliłby na ostateczne zniszczenie lasów swoich.

— Zapewne! Jeżeli jednak pełnomocnictwa dotąd nie cofnął, układ w jego imieniu przez rządcę zawarty cofnąć się nieda. A gdybyś pan zapytał telegraficznie, jak rzeczy stoją? Wypada przestrzedz hrabiego o grożącem mu niebezpieczeństwie.

— Byle tylko nie było za późno! Kiedy kontrakt ma być podpisany?

— Temi dniami. Pojutrze o ile mi się zdaje.

— A więc pojadę sam do Ettersberg — zadecydował nagle młody człowiek. — Tu proste pytanie nicby nie znaczyło. Trzeba wziąć się energicznie do tej sprawy, aby nie dopuścić do prostej kradzieży, na którą zanosi się najwyraźniej. Edmund jest pod tym względem zanadto łatwowierny i wahający; zwykle decyduje się na krok stanowczy, gdy już jest o wiele za późno. Jestem wolny chwilowo, a za trzy dni mogę być napowrót. Tak będzie najlepiej. Wytłumaczę całą sprawę Edmundowi i zmuszę go do natychmiastowego działania.

Adwokat bardzo zamiar pochwalił. I jemu cała ta sprawa, jak również niesłychany pospiech w zawieraniu kontraktu, wydawały się nader podejrzane. Gorliwość, którą Oswald okazał w bronieniu interesów krewnych, mimo, iż z nimi zerwał prawie zupełnie stosunki, podobała się także panu Braun. Jednej chwili się nie zawahał, widząc, że ich może ratować od znacznej straty materjalnej.

Przygotowania do podróży krótko trwały. Kolej żelazna skraca i najdalsze przestrzenie. Chociaż więc kilkadziesiąt mil dzieliło Ettersberg od stolicy, Oswald mógł tam być jutro na południe. Pierwszy lepszy pretekst wystarczy, aby nie przedłużać tamże pobytu; zresztą, weselne uroczystości, których najgorzej się obawiał, odłożono aż na Boże Narodzenie, za dwa tygodnie dopiero.

W Ettersberg nikt się nie spodziewał podobnych odwidzin. Wszyscy byli wyłącznie zajęci przygotowaniami weselnemi i urządzeniem pałacu, na przyjęcie młodej pary. Apartamenta na pierwszym piątrze, które miał Edmund zamieszkiwać z młodą małżonką, dotąd nie były ukończone; wzwyż tego przybyło urządzanie domu w Schönfeld, który przez wiele lat stojąc pustką, potrzebował nie jednej reperacji, a hrabina chciała natychmiast po weselnych uroczystościach tamże się przenosić.

Decyzja hrabiny, żeby ani chwili po ślubie w domu syna nie pozostać, przyszła nagle i wszystkich zadziwiła. Wspominała wprawdzie o tym projekcie i dawniej, zlekka jednak, nawiasem, skłaniając się łatwo do namiętnych próśb syna, żeby o tem nie myślała, gdyż on nigdy na coś podobnego nie pozwoli. Oboje zdawali się teraz odmiennego zdania. Hrabina oświadczyła głośno i stanowczo, że w Ettersberg mieszkać nie będzie, a syn wcale przeciw temu nie protestował W Brunneck szczególniej szybka ta decyzja wszystkich uderzyła, im mniej jednak byli na nią przygotowani, tem większą, co prawda, radość tamże wywołała. Radca, poznawszy bliżej hrabinę, bał się niezmiernie tego mieszkania pod jednym dachem, dla swojej ukochanej jedynasi. Wiadomość o przesiedleniu się hrabiny tak mu była pożądaną, iż wcale się nie namyślał, co ostatecznie takową spowodować mogło.

W ostatnich dwóch miesiącach nie można było istotnie zdać sobie sprawy z czegokolwiek i myśli rozpierzchłe pozbierać. Odebranie i urządzenie majątku Dornau, który miał być natychmiast Jadwidze oddany, a następnie złączony z Ettersberg'em, świetne przygotowania do ślubu, tak w Bruneck, jak i w Ettersberg, rozmaite zaprosiny i odwidziny, nie pozwalały odetchnąć nikomu z rodziny Rüstow'ów i Ettersberg'ów. Jesień w tej okolicy należała od dawna do pory w roku najbardziej ożywionej. Ogromne polowania, po których następowały sute objady i tańce do dnia białego, były w każdym domu zamożniejszym na porządku dziennym. Od września żyło się w ciągłym wirze objadów i balów, a jeżeli kiedy zdarzył się szczęśliwie dzień wyjątkowy bez gości, było tyle do omówienia i do obradzenia, iż o spokojnej chwili wypoczynku nawet im marzyć nie wolno było.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: W. Maniecki.